

Od autora: kategoria: theological fiction/philosophical fiction;
sequel "Wieczoru"

Wyszedłem przez zamknięte okno. Wątpliwości nie powstały, wiedziałem, mówił prawdę. Biegące etiu-
dą poranka stado hipopotamów, potwierdziło moje przekonanie, wzmacniając je gasnącym blaskiem za-
chodu ostatniego dziś Słońca, odbitego w drżących lustrach kałuż jutrzejszego deszczu. Świadection to
mogło pokonać każdą niewiarę. Tętent grubych, silnych łap zagłuszał inne dźwięki, stopniowo opa-
nowując wszystkie zmysły. Były tak blisko, że skuliłem się instynktownie, bojąc zmiażdżenia, lecz nie
mogłem ich dostrzec. Swym wszechpotężnym, rytmicznym dudnieniem, zdawały się stwarzać i wypeł-
niać Wszechświat, powtarzając powracające echo mitycznej Pranavy. W końcu z trudem zamieniłem ten
łoskot na domniemane wizje tłustych, brudnoszarych ciał, z których dało się zauważyć jedynie potężne
zady, umykające w kolejne miesiące i lata.

Most nie został jeszcze zbudowany, miałem więc dużo czasu. Schodów też nie było, lecz zszedłem nimi
na ziemię, niewysoko przecież, pierwsze piętro. Twardy grunt przywitał mnie przyjaźnie, nie ugryzł, nie
pochłoniął i nie żądał fałszywych dokumentów. Zasadzka czyhała na początku i na końcu, w środku sie-
dział kozioł i to w formie podstawowej. Nie miał tronu, zwykły stół, a i to paskudny. Krzywy i po-
plamiony. I choć zajmował Najważniejsze Miejsce w Najważniejszej Księdze, byłem pewny, że prawie
nikt go nie rozpoznał i długo jeszcze nie rozpozna; przeminęła już chwała jego świata.

– Wygodnie ci? – zagadnąłem.

– Nie – mruknął – poszedł?

– Poszedł.

– Daleko ma. Ponad dwa tysiące lat. – Uśmiechnął się prawie złośliwie. Posądzałbym go o większą obo-
jętność.

– Owszem, w jego wieku zajmie to kilka godzin – odrzekłem manifestując troskę. – Nie mógłbyś mu po-
móc?

– Może i tak, ale nie lubię koine.

– A po jakiemu miał pisać?

– To nie on pisał, nie udawaj, że nie wiesz. – Popatrzył na mnie z niesmakiem.

– Ale on nie wie.

– To prawda.

– Przejdiesz się? Cztery eony tu sterczysz. – Potrzebowałem towarzystwa. Z braku lepszego mogłem po-
spacerować nawet z Prawie Wszechmocnym.

– Ponad pięć. Ale nie wypada. Rzeczywistość mogłaby się rozpaść.

– Ee... mała strata, chodź. – Gdzieś w głębi czegoś tam ożyła nadzieja, że właśnie tak się stanie.

– Dobra, co mnie to w końcu... – Zlazł niezgrabnie ze swego obskurnego siedziska. Kilka zdziwionych,
kosmatych pajaków rozbiegło się w sześć stron świata, biedaczyska, będą musiały zacząć od nowa. Mi-
sternie tkane pajęczyny, zwisały teraz chaotycznie, tworząc przypadkowe rysy, a może nawet pęknięcia,
na obrazie niepotrzebnej już rzeczywistości. Dobrze chociaż, że wiedziały o sześciu, a nie tylko o czterech, jak
nasza prymitywna cywilizacja. Na dokładkę nic się stało. Wszechświat trwał, obojętny, brakoróbstwo jak
zwykle.

– No i popatrz, jednak możliwe jest istnienie tylko jednej strony, misy bez wnętrza, monety bez rewersu...

– Zawsze to podejrzewałem, wszędzie złodziejstwo. – Poskrobał zadnim kopytem między rogami. – Do-
kąd pójdziemy?

– A tak... przed siebie.

Pierwsze wieki szliśmy w milczeniu, otuleni kopułą nieba usianego światłem ulicznych lamp i echem

powtarzanych przez lata niepotrzebnych słów, baraszkujących teraz wesoło wśród przemykających pasm nocnej mgły. Tańczące wiewiórki rzucały orzeszki, kosmate ćmy zapraszały do walca, nietoperze nuciły jakieś arie. Gdzieś w tle, Księżycowa Sonata opadała znajomym brzmieniem sennych akordów, wprost ze świecącego nad nami srebrzystego globu. Można się było odprężyć.

– Powiedziałeś mu, że rozumiesz? – zapytał, gdy nie bez trudu minęliśmy kolejne hałaśliwe skrzyżowanie.

– Tak. Chyba się ucieszył.

– Na pewno. Ach, zapomniałem. Ten z Hippony chciał cię widzieć.

– Po co? – Natychmiast stałem się podejrzliwy.

– Skąd mam wiedzieć? Pewnie będzie przynudzać z tym zwróconym ku jedności universum, jakby kogośkolwiek to obchodziło. Myśli, że tylko on zna się na etymologii. Od jakichś pięciuset lat trudno z nim rozmawiać. Sądzi, że jest autorytetem. – Z irytacją kopnął jakiś kamień, który obrażony takim traktowaniem zawrócił szybko zgrabnym łukiem, celując w jego plecy. Chybił jednak.

– Ma kompleks Akwinu – roześmiałem się.

– I trudno się dziwić, prawda zawsze przegrywa, ale zajrzyj do niego, bo inaczej mnie zamęczy. Aha, sądzę, że już wie, kto był u ciebie.

– Zajrzę – obiecałem – właściwie, to coś powinien mi wyjaśnić. Ja jemu też.

– Idź od razu, blisko jesteśmy, potem możesz zapomnieć. Pogadamy innym razem.

Zamyśliłem się, machinalnie obserwując otoczenie. Siedząca na rozłożystym klonie sowa, śledziła nas uważnie, dyskretnie zapisując coś pazurkiem pod uchylonym lekko skrzydłem. Wiewiórki nagle zniknęły, nietoperze przestały śpiewać i tylko ćmy niestrudzenie kontynuowały swój taniec. Tramwaje zgrzytały złośliwie, samochody polowały na nielicznych przechodniów, bezskutecznie jakoś, uchylając się zgrabnie przed niebezpiecznie rozbieranymi odwłokami przegubowych autobusów i śledzone wścibskim spojrzeniem okien pobliskich domów. Deszcz już zaczynał padać, powstaną kałuże, w lustrach których znów będę szukał rysów swojej twarzy, potwierdzenia odrobiny własnej tożsamości. Tak, to był dobry pomysł.

Pojąłem nagle, skąd wzięły się te hipopotamy; zapraszał mnie w ten sposób delikatnie, był przyzwyczajony do subtelnych, choć trudno zrozumiałych aluzji i wielotorowego znaczenia słów, a skoro słów, to i elementów świata materialnego. No i potrafił ich używać w starym stylu. To znaczy realizować. Jeśli się zna zasady, wówczas tworzenie nowych rzeczywistości nie jest zbyt trudne – ale ja, prostak, nie rozumiałem.

Hippończyk mieszkał niedaleko. Niewielki, prawie skromny apartamentowiec na pobliskim rogu, jak każdy znaczący róg wyrastał z głowy tego, którego pożegnałem przed chwilą. Od razu poznałem jego wóz, kombi, tył wyładowany po dach zwojami i książkami. Stał za ogrodzeniem na strzeżonym terenie. Przyjrzałem się. Napęd hybrydowy. No tak, wiecznie ta dwulicowość, zdradził manichejczyków i tu też chciał poszukać zabezpieczenia, zawsze lepiej na dwa fronty. Co prawda powinien zamontować jeszcze gaz, bo nową wiarę też zdradził, ale zrobił to tak inteligentnie, że mało kto zauważył. A jak sprawnie rozgłosił świętą prawie zasadę, *noverim me, noverim te. Boże zawsze niezmienny! spraw, abym poznał siebie, spraw, abym poznał Ciebie*. Wszystkich prawie oszukał, bo kto tu jest na pierwszym miejscu, przed Bogiem? Człowiek! Niewiarygodne, człowiek przed Bogiem! Masoreci znieść nie mogli, że Pan stał przed Abrahamem i oficjalnie sfałszowali Torę. I w porządku. Ustalili kolejny wariant wszechobowiązującej prawdy. A tutaj? Ktoś zbyt późno się połapał i teraz nie ma innego wyjścia, albo cenzurować albo nie widzieć. – Ciekawe, czy on o tym wie – pomyślałem – chyba mu powiem, może uwierzy w ateizm, byłoby zabawnie. A ideologię zawsze można dorobić.

Zadzwoiłem. Ciec z fizjonomią przypominająca Tego, Którego Imienia w okolicy przebywania świętego (ponoć) nie wypadało przyzywać, miłym uśmiechem zaprosił mnie na teren posesji.

– Augustyn? Uprzedził mnie o pańskiej wizycie. Bardzo proszę, trzecie piętro, szybkobieżna winda –

tędy... bardzo proszę...

– Oczywiście, że trzecie – mruknąłem. – Dziękuję.

Winda była rzeczywiście szybkobieżna. Wmontowane lustro nie odbijało mojej twarzy, zapewniając dyskrecję i anonimowość. Po krótkiej chwili stałem przed drzwiami ozdobionymi złotą tabliczką (ciekawe, czy z prawdziwego złota lub choćby pozłacaną) z napisem „A. z H.” Wiedza jest tylko przypomnieniem, a i to nie dla wszystkich. Drzwi otworzyły się niespiesznie, wiedziony uprzejmym ruchem ręki gospodarza, wszedłem do środka.

Natychmiast ogarnął mnie nastrój innego świata. Wzdłuż wszystkich ścian, stały przeszkłone szafy z ciemnego, pokrytego politurą drewna, wypełnione książkami, niektóre spośród dyszących dostojnością i historią skórzanych grzbietów, mogły się poszczycić słusznym wiekiem, a w szufladach u parkietu podłogi (na pewno dąb) instynktownie wyczuwałem starsze zwoje. Kilka świec i niewielkich popiersi raczej rzymskich niż greckich, jakaś owalna miniatura, kilka muszli, zegar pozbawiony wskazówek, wazon obejmujący łodygi trzech czerwonych róż. Gdzieś musiały być ukryte drzwi do innych pomieszczeń albo światów. Uchylone okno przysłonięte firanką, doniczka z bliżej nieokreśloną rośliną, skażony współczesnym żyrandolem sufit. Pośrodku pokoju ciężki stół, na nim rozłożony gruby zeszyt, kilka książek, przybory do pisania z różnych epok, przytulone do stołu cztery miękkie krzesła z finezyjnie rzeźbionymi oparciami. Usiedliśmy. Czulem spojrzenie trzydziestu par oczu przyczajonego w kącie Simurga, ale udałem, że ich nie zauważam.

– Co wy teraz pijecie? – Gospodarz zmarszczył czoło, pomijając standardowe przywitania. – Już wiem; kawa, herbata?

– Nie trzeba.

– Mogę zadzwonić, przyniosą. – Grał swoją rolę. Przyjrzałem się miejscu, gdzie nosił twarz. Odmłodniał od naszego poprzedniego spotkania, lat wyraźnie ubyło, schudł, uwydatniając ostre kości policzkowe, broda szerniała nieco, oczy pojaśniały, zgęstniały nastroszone zawsze brwi, tylko usta pozostałe blade, lekko zaciśnięte, by nie pozwolić uciec niepotrzebnym słowom. Koło czasu obracało się nieuchronnie. We wszystkie strony.

– Później może, dziękuję. Co piszesz?

– Nic. Dosyć napisałem. I tak nie zrozumieli. Chciałem przekazać potomnym swoją mądrość. Tylko nie przypominaj mi tu pokory, mogę ją żywić wobec Boga, a nie ludzi. *Nie ma chyba słowa, któremu by natura nadała sens jaśniejszy niż słowu mądrość!*

– Natura nadała? – przerwałem, nie zdążywszy dodać ironii – nie pomyliłeś się?

Udał, że nie słyszy i ciągnął dalej.

– *Lecz nie wiem, jak to się dzieje, że gdy samo pojęcie opuści, niby port, nasz umysł i rozwinięte żagle słów, natychmiast tysiące fałszywych interpretacji grozi mu rozbiciem.* Siedzę więc i sprawdzam własne pisma i technienia wiatrów, co im kierunki nadawały. Nigdy bym nie przypuścił, że to moje dzieło.

– To nie wiesz, że nie liczy się to, co piszesz, ale to, co będzie odczytane? A w każdej epoce i środowisku będzie to co innego? – Rozbawił mnie prawie. – Nie istnieją fałszywe interpretacje, tylko autorzy, którzy nie mają nic do powiedzenia, oprócz własnego ograniczonego poglądu.

– Ale kiedy tego doświadczasz... – Skrzywił się z niesmakiem. Bolało go to najwidoczniej.

– Wiem.

– Stawiasz litery, układasz wyrazy, zdania, formułujesz myśli, a potem... ech... *ja rozumiem, że wszystkie znaki oddziałują na umysł w zależności od zgody społecznej i funkcjonują odmiennie, jeśli obowiązuje inny układ, ludzie zaś przyzwolili na to nie dlatego, jakoby już miały znaczenie, ale znaczą, gdyż oni tak się zgodzili, tak też i te znaki, dzięki którym dochodzi do skutku szkodliwa spółka z demonami, mają moc zależną od przesądów.* Nawet można łatwo rozpoznać dzisiejsze demony, na przykład środki przekazu wiedzy na usługach władzy, ta wasza telewizja chociażby. To profanacja dwóch połączonych słów z mojej epoki, przecież one nie mają nic wspólnego z oryginałem! Jak tak można! I to nie jest żadne przeka-

zywanie jakiegokolwiek wizji ani wiedzy, oni niczego nie widzą, a tym bardziej nie wiedzą, znasz zapewne etymologię tego słowa, z dalekich Indii pochodzi, a ci oszuści co z tym zrobili?

– To samo co fałszerze ksiąg i znaczenia słów z twoich czasów. Zawsze tak było. Dziwi cię to? Ludzie się tak szybko nie zmieniają.

– Tak, tak, pomińmy... Jest coś ważniejszego. Przypomnij sobie *obrządku augurów, którzy to przed rozpoczęciem swoich zbiegów, jak też gdy już zdobyli oczekiwane znaki, nie troszczą się zupełnie i nawet nie chcą spojrzeć na lot ptaków czy posłuchać ich krzyku. Dzieje się tak dlatego, że tego rodzaju znaki nie istnieją jako znaki, dopóki obserwujący je nie uzna ich za coś takiego*. A dziś za podstawę zrozumienia przyjmuje się właśnie te znaki, pismo na przykład i wszyscy mają rozumować tak samo, jednakowo je odczytując. Nawet demony nie potrafią tak opętać ludzi, aby ci widzieli i myśleli tak samo. Szaleństwo!

– I co z tego?

– Martwe symbole podstawą pojmowania? Kto na to wpadł? – Podniecony głos wibrował ze zdenerwowania.

– Po części nikt, a po części zasługa religii. Twojej religii. Przyłożyła się do tego na przestrzeni wieków. Masz zresztą w tym osobisty udział.

Zignorował tę drobną, choć uzasadnioną złośliwość.

– Przecież aby znak, element świata rzeczywistego nabrał znaczenia, zaczął działać, spełniać swoją rolę, musi nastąpić jego połączenie ze świadomością człowieka. Niezależnie od niej, znak jako symbol, sigil, czy przedmiot podległy prawom materii ze świata fizycznego, nie jest znakiem. Nie istnieje jako Znak. Nie istnieje takie pojęcie *in spe* bez udziału świadomości, będącej jego twórcą. Człowiek winien wiedzieć, *czym jest rozum, za którym dąży i dzięki któremu pojmuje*.

– Mówisz, że za rozumem dąży? Odważna teza, jak na Doktora... sam wiesz czego. Ale niektórzy ludzie już o tym wiedzą i nawet jest to praktycznie wykorzystywane. Ale u nas działa tylko w mikroskali, na poziomie atomowym i mniejszym.

– Atomowym?

– Tak, pamiętasz Demokryta? Znajdziesz to pojęcie również w Pierwszym Liście do Koryntian, rozdział bodajże piętnasty, choć tam odnosi się do czasu, a nie materii.

- A... pamiętam, nie skojarzyłem, ale, ale, dlaczego nie stosujecie tego do dużych rzeczy waszego świata?

– zapytał, nie maskując zdziwienia. Trudno o bardziej zasadne pytanie. Wypadało szczerze odpowiedzieć.

– Bo nie potrafimy. Proste. – Niezręcznie trochę się było przyznać. – Zresztą, może to i lepiej – dodałem ciszej.

– Nie potraficie! No jasne! A ja się zastanawiałem po co wam ta cała techna, maszyny skomplikowane budujecie, energia do nich potrzebna, mechaniczna i jeszcze jakaś inna, nawet wołów, czy chociażby koni albo osłów używać już nie potraficie, pewnie słuchać was nie chcą, nic dziwnego, dlatego bezmyślne konstrukcje tworzyć i używać musicie, regres, zacofanie, ciemnota. Wstyd. A wy słowem posługiwać się nie potraficie! To wszystko wyjaśnia, z materialnymi narzędziami i tą całą el... elektroniką, czy jakoś tak, musicie się męczyć.

– Nie jest tak źle. Przyzwyczajenie druga naturą człowieka.

– Chciałeś powiedzieć, jedyną. Czekaj, czekaj... miałem zapytać, czy ta elektronika ma coś wspólnego z Elami?

– Skądże.

– Tak myślałem. – Skinął głową, nie bez pogardy.

– To twój Bóg to wszystko zaaranżował, stworzył. Wymyślił jakiś grzech i teraz wszyscy obrywamy. Nieładnie z jego strony. Przerobił nas na grzeszników. W ramach bezbrzeżnego miłosierdzia zapewne.

– *Bóg uczynił grzesznika czymś brzydkim, lecz nie jest brzydki czyn Boga. Człowiek bowiem stał się odrażający z własnej woli, tracąc władzę nad światem, który do niego należał, kiedy był posłuszny Bogu, i sam*

stał się jego częścią. *Nie chciał żyć zgodnie z prawem, musi więc prawu podlegać.* – Odruchowo chyba podniósł ręką i przybrał mentorski ton.

– Sofistyka. Mówisz, że człowiek grzesznikiem uczynił sam siebie, z własnej woli, czyli wolna wola jest źródłem następującego w konsekwencji wszelkiego zła. Rezygnując z władzy nad światem stał się jego częścią, czyli przedtem był częścią Boga, więc zamiast *Nie chciał żyć zgodnie z prawem* należałoby powiedzieć „nie chciał być prawem”. Z podmiotu w przedmiot. Ktoś się bał konkurencji? Ale widzisz – uśmiech machinalnie wykrzywił moja twarz – teraz szuka drogi powrotnej, ale celem nie jest poddaństwo i służba Bogu, lecz partnerstwo z Nim, bądź stanie się immanentną częścią Jego Istoty. Tak jak było kiedyś.

– *Nikt dobrym nie będzie, nie będąc złym przedtem* – mruknął. – A przedtem... Bóg... Ech, dajmy spokój, zresztą, być może *każde zdarzenie szczęśliwe lub nieszczęśliwe w każdym konkretnym przypadku, odpowiada ogólnemu porządkowi rzeczy i zestraja się z nim.* Tak jak dobro i zło. Poddaństwo, partnerstwo, wszystko połączone.

– Zasada synchronizmu, był taki jeden w naszych czasach, który ją opracował, ale nie wspomniał o tobie. Zresztą wyszedł z trochę innych założeń. – Było to prawdą, ale gdyby nie było, również powiedziałbym coś takiego, nie chciałem go urazić.

– Nie szkodzi. A poza tym przekazałem wam wiedzę, że możecie, że powinniście sami od tego grzechu się uwolnić, *doctrina christiana* na tym polega, cały traktat spłodziłem. – Oczy mu błyszczały, jedna para wprawdzie, więcej nie miał. – Jesteście przecież ecclesia, macie moc odpuszczania grzechów w swojej ecclesii, samym sobie, *sibi*, musicie w to wierzyć, bo inaczej nie będą wam odpuszczone, *quisquis in ecclesia eius dimitti sibi peccata non crederet, non ei dimitterentur*, tylko nie mów, że tego też nie umiecie, że zapomnieliście czy nie dociera, tak, wiem, że można inaczej tłumaczyć te słowa, ale musiałem wieloznacznie pisać, w przeciwnym razie nie byłyby zachowane, przecież to dla waszego dobra, żebyście nie wpadli w większą rozpacz i stali się jeszcze gorsi, *Quisquis enim non credit dimitti sibi posse peccata, fit deterior desperando*. Własną ecclesię oczywiście zbudować należy, czyli połączyć swoje trzy ciała, trzeba poćwiczyć, ale jeśli masz tego świadomość, to nie jest takie trudne, zresztą wiele dróg rozmaitych do tego prowadzi, różni o tym mówili. W Liście do Rzymian też o tym było, jasne, że schowane nieco. Sami, bo każdy we własnym zakresie i własną mocą może tego dokonać, zbudować, napisałem... niewyraźnie trochę? Tak, tak, wiem, nie do końca jednoznacznie, ale rozumiesz przecież dlaczego... I nie pozwolić odebrać sobie tego, nie dać się zwieść, że ktoś was wyręczy, opanuje wasze myśli, dusze, rządzić nimi będzie, to winno być waszą wiarą, nadzieją... co tak na mnie patrzysz?

Siedzący w kącie Simurg kłapnął dziobem, wydając cichy skrzek, może był w nim śmiech, może współczucie, a może pogarda. Połowa oczu patrzyła na mnie, połowa na gospodarza. Zakończona ostrymi szponami łapa, drapała podłogę. Skrzydła drżały niespokojnie.

– Głodny. – Augustyn, nie usłyszawszy odpowiedzi, a może nawet jej nie oczekując, wstał, pchnął jedną z półek, która nawet nie drgnęła. Wszedł w przejście, które się nie pojawiło i zniknęło. Powodowany grzecnością, zagadałbym do ptaszyska, ale nie wiedziałem jak; „cip”, „cip” trochę nie wypadało. Trzydzieści żrenic wpiło się w moje spojrzenie, uważnie, przenikliwie, a po krótkiej chwili, uspokojone jakby, rozbiegło po pokoju. Ptak potrząsnął piórami, wstał, wyprostował. Bezgłośnym truchtem podszedł do jednej z szuflad, otworzył ją zręcznie haczykowatym dziobem, wyłuskał zwinięty rulon, będący bez wątpienia starym i cennym rękopisem, połknął bez pośpiechu, zasunął szufladę, podrapał pazurem nabrzmiałą szyję, mrugnął do mnie porozumiewawczo kilkoma parami oczu i wrócił do swego kąta z wyraźnie zadowoloną miną.

Augustyn pojawił się jakby znikąd.

– Lodówka pusta – rzucił w stronę Simurga – zresztą pewnie i tak zezarłeś jakąś księgę.

Zagadnięty tkwił nieruchomo, z miną obrażonej niewinności. Ślepiea emanowały łagodnością i spokojem.

– Dobrze, że to tylko słowa – ciągnął dalej – nie mają już znaczenia. Żeby chociaż wiernie je przeka-

zywano, a tak... wszystko można powiedzieć. Czyli nic. Wiem przecież, stały się tylko nośnikami tego, co nazywacie informacją, utraciły dawną magię, moc, integralny związek z tym, co oznaczają. Zapomniano o tej innej mowie, o której pisał nasz Stary Mistrz. No i Thot niepotrzebnie się starał. – Usiadł ciężko na krześle. – Nie musisz niczego wyjaśniać – dodał, patrząc w moją stronę jedyną parą oczu – przejrzałem twoje myśli, otwierałem przecież lodówkę, wiem już wszystko.

Milczałem. Znów nie miałem nic do powiedzenia, podobnie jak podczas rozmowy z Platonem, ale wtedy jej zakończenie było inne, zupełnie inne. Z kąta dobiegło współczujące kwilenie Simurga. Drgnął.

– Dobrze, że mieszka u mnie. – Skinął głową w jego stronę. – To trzydzieści, tak jak w Piśmie, jest moją tarczą, obroną, cieniem, który kiedyś chronił ziemię kananejską. Nefilim załatwili. Pamiętasz? Nawet On nie mógł nic zrobić, kiedy liczba ta była nad ludem.

Długie pożegnanie byłoby przykre dla nas obu. Nie tak miała przebiegać ta rozmowa, może następnym razem. Bez słów, które i tak nic by nie znaczyły, podaliśmy sobie ręce i zamknąłem za sobą drzwi. Ich trzaśnięcie naruszyło ciszę, która zdążyła objąć już nasz świat, rozpościerając czułe ramiona dla nadchodzącego snu zapomnienia, przyzwyczajenia. Powróciła natychmiast; wsłuchałem się w nią przez chwilę, po czym nie facygując windy, zszedłem na dół. Strażnika nie było, lekki wiatr kołysał przyczajony mrok, rozpraszany światłem nielicznych lamp, szeptem usiłując opowiedzieć o czymś, czego i tak nie byłem w stanie słuchać, zajęty swoimi myślami. Szedłem ku bramie, pełną piersią wdychając orzeźwiające powietrze, gdy ktoś skinął ku mnie z opuszczonego okna znanego mi samochodu.

– Wsiadaj. – Z ciężkim westchnieniem zawołał Prawie Wszechmocny. – Pomożemy mu.

– Jak?

– Wywieziemy te szpargały na wysypisko. Jemu będzie trudno, sentyment, rozumiesz, a jak ten jego uroczy ptaszek się do nich dorwie, to zdechnie z przejedzenia. – Uśmiechnął się, ale smutno tak jakoś, niewyraźnie.

– Albo się biedak otruje.

Pojechaliśmy. Deszcz pomału ustawał, pozostawiając po sobie lśniące oczy kałuż. Niedługo będzie świtać. Wstanie kolejne Słońce, pisząc nową etiudę kolejnego poranka. Szare cienie opastych zwierząt pojawiały się niespodziewanie z różnych stron, zwracając ku nam swe rozłożyste pyski ozdobione krzywymi kłami i prychając bezgłośnie przez rozdęte nozdrza. Nie zakłócały ciszy i mogłem im się dokładnie przyjrzeć. Widziałem je lub słyszałem, razem było to niemożliwe, mikrokosmos rozszerzył już swe prawa, dostosowując je do ludzkich zmysłów. Tuż za nimi pierwsze autobusy niechętnie wylaziły na mokre ulice, niespiesznie obracając zaspanymi jeszcze, okrągłymi łapami. Samochody rozpoczęły polowanie, nieliczne okna zapalały pierwsze światła, przecierając firankami zaspane powieki i wdychając powiewy ożywczego powietrza.

– Wiesz – nagle odwrócił się do mnie – mam pomysł. Zawieźmy to lepiej do jego czasów. To tylko szesnaście wieków, zdążymy przed śniadaniem. Większość tych ksiąg on napisał, niech poprawi, dopasuje do rzeczywistości, nie potrafił jej właściwie ukształtować, jego wina, ale niech ma tę szansę, ktoś powinien mu ją dać. Raz się wyparł swojej wiary, może tak postąpić i teraz, a zamieszanie będzie mniejsze, chociaż... nie wiem czy zechce... To jak?

– A nie będzie miał pretensji?

– O co? Pomożemy mu przecież odpuścić jego grzech. Najcięższy z możliwych, grzech mądrości. Reszta pójdzie już łatwo. Jak zgłupieje, będzie mu łatwiej. – Błysnął wesołym teraz uśmiechem.

– Przecież sam powinien.

– I robi to. My tylko wskażemy drogę. Zagubił się we własnych myślach, rękopisach, księgach. Ciężko człowiekowi samemu...

– Każdy dobry uczynek zostanie ukarany, ale może rzeczywiście powinniśmy to zrobić – odrzekłem po dłuższej chwili.

Z tyłu wozu dało się słyszeć jakieś zamieszanie.

– Nie pchaj się. – Rozłożony na tylnej kanapie Simurg, kłapnął dziobem w stronę małego hipopotama siedzącego obok. – I przestań być zielony, nie lubię tego koloru.

Hipopotamiątko z urażoną miną stało się niebieskie, ale zmniejszyć swoich rozmiarów nie potrafiło.

– Nakarm go. – Prawie Wszechmocny podał mi zakończoną smoczkiem dużą butelkę wypełnioną białym płynem, w którym domyśliłem się mleka. – Bo będzie płakał.

Odwrociłem się, wyciągnąwszy ją w kierunku rozwartej, błękitnej paszczy. Malec przylgnął do smoczka i z głośnym gulgotem łykał płyn. Niewielkie, błyszczące oczka promieniały zadowoleniem. Jednocześnie zauważyłem, że trzydziestu jego sąsiadów zapisuje coś dyskretnie pod skrzydłem.

– Co tam piszesz?

Łypnął z niechęcią, chciał schować, rozmyślił się jednak i z ociąganiem podał mi kawałek tektury, pokrytej niewyraźnym pismem. Poznałem fragment opakowania po makaronie. Odczytałem z pewnym trudem:

Na końcu było Milczenie, Milczenie było u Ludzi, a Ludzie byli Milczeniem.

To było na początku u Ludzi.

Wszystko przez nie zginęło, a bez niego nie zginęło nic, co powstało.

W nim była śmierć, a śmierć była ich nadzieją.

– Zobacz – zwróciłem się do Niego – kolejna wersja.

– Wiele ich było, wszystkie fałszywe, łącznie z oryginałem. To jak, jedziemy?

Patrzyłem na wychodzące z ustępującej nocy, ciemnoszare fasady mijanych domów, z kielkującą niepewnością i tłumionym lękiem, rosnącymi im bliżej było do końca ziemskiej wędrówki, którą w swojej niewiedzy ludzie traktowali jako ostateczną. Co będzie później, co będzie tam, po tamtej stronie, jak mnie osądzą, w imię czego, kto, za co... Nadzieja... Czy Ktoś będzie czekał przy moście? Grzech... Milcząca, ponura mgła czaiła się wokół, niedostrzegalna czasem, lecz zawsze obecna, gotowa pochłonąć wszystko, łącznie z bezładem, pustkowiem i nicością.

– Jedźmy.

Wcisnął pedał gazu, choć było to niepotrzebne. Trzydzieści par potężnych skrzydeł poniosło nas do mrocznego świtu tamtej epoki. Trzydzieści par reflektorów oświetlało niewidoczną drogę i czas, nie zostawiając żadnych śladów, jakbyśmy byli tylko snem, nieistniejącym odbiciem unoszącego się ducha, widmem, mijającym w pośpiechu kolejne lata. Pędziliśmy w milczeniu, zamyśleni, oglądając przez opuszczone szyby panoramę sześciu stron świata, bezszumnie płynących wieków i odbite w lustrach smutne twarze tych, którzy dawno odeszli w poczuciu niezatartej winy, nie odpuściwszy sobie grzechów we wzniesionej przez siebie ecclesii, przez co nie zostały one im odpuszczone.

W oddali cichł tętent ostatniego stada hipopotamów.

W opowiadaniu zostały wykorzystane krótkie fragmenty następujących przekładów dzieł Świętego Augustyna:

„O muzyce” - (tłum. Danuta Turkowska)

„O nauce chrześcijańskiej” - (tłum. Jan Sulowski)

„O prządku” (tłum. Józef Modrzejewski)

„Państwo Boże” (tłum. Władysław Kubicki)

„Przeciw Akademikom” - (tłum. Katarzyna Augustyniak)

„Solilokwia” - (tłum. Anna Świderkówna)

Aleksander Litto Strumieński

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Gorgiasz, dodano 21.05.2016 14:30

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.